

Pół butelki Johnnie Walkera

Ostatnią dziesiątkę ze stu pompek robił z ogromnym wysiłkiem. Ale docisnął tę setną do samego końca. Padł na gruby dywan, leniwie przewrócił się na plecy i czekał, aż uspokoi się rozszalałe serce. Uśmiechał się do siebie, czując jak organizm regeneruje się szybko, co znaczyło, że jest w dobrej formie. Gdy ulotnił się ostatni ślad zmęczenia, wstał energicznie i ruszył w stronę łazienki. Ustawił temperaturę wody w natrysku i dobre dziesięć minut stał bez ruchu pod gorącymi strumieniami prysznica. Potem gwałtownie pchnął uchwyt baterii w prawo. Lodowate strugi sprawiły, że krzyknął z bólu. Wytrzymał jeszcze kilka sekund, ściągnął mieszadło w dół, opasał potężne, ale bardzo harmonijnie zbudowane ciało ramionami i czekał, dygocąc, aż poczuł, że robi mu się cieplej. Wtedy rozsunął drzwi kabiny i sięgnął po długi, miękki i lekki jak puch płaszcz kąpielowy.

Wchodząc do salonu, spojrzął na stylowy zegar ścienny. Do dwudziestej drugiej brakowało pięciu minut. Świetnie. Wielofunkcyjnym pilotem włączył pięćdziesięciocalową plazmę i przygasił górne światło. Uruchomił nagrywarke DVD — rutynowo zapisywał wszystkie programy informacyjne. Z wielopiętrowego barku wybrał po chwili namysłu litrową butelkę zielonego Walkera. Duża kostka lodu przyjemnie zadzwoniła o dno szklanki. Powoli, starannie wlał alkohol.

Rzuciwszy się w głęboki fotel, wydmuchnął głośno powietrze. OK. Jest OK.

Początek był zwyczajny — liberalna lewica atakowała chwiejący się rząd Jerzego Olszańskiego, który jednego dnia miał wątlą większość sejmową, drugiego zaś — nagle mu jej brakowało. Dziennikarsko-polityczny jazgot był rutyną, spokojne, lękliwe nawet jakoś wypowiedzi ludzi koalicji rządowej tłumił natychmiast ostry ton replik politycznych adwersarzy, którzy nawet nie starali się udawać, że nie idzie im o niszczenie ekipy Olszańskiego, o drwinę, zadymę, polityczny, saski zupełnie karnawał. Sam premier mówił ostatnio bardzo krótko. Następnego dnia okazywało się, że wypowiedź „skrócono”, a z jej kontekstu wyjęto oczywiście te fragmenty, które najbardziej pasowały do obrazu ekipy nienawistników z jednej, a nieudaczników z drugiej strony.

Sięgnął po lód, wlał dużą porcję alkoholu. Znał to bardzo dobrze — jednak wciąż nie mógł się nadziwić, że ktoś radykalnym cięciem nie przetnie tego wrzodu, choćby cena miała być wysoka. Lepiej w końcu z honorem, z „jajami” wylecieć w powietrze, niż wystawiać się na pośmiewisko. Zresztą nikt nie miał wątpliwości, jak się to wszystko skończy. Kompromitacja tak czy owak.

— *Przed Sądem Okręgowym w Warszawie zakończył się kolejny proces funkcjonariusza byłej SB, oskarżanego o...*

Skupił uwagę na tym newsie. Znalazło to odbicie w zawartości szklanki.

— *...podporucznik Paweł M., oskarżony przez prokuraturę o współudział w pobiciu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku ze skutkiem śmiertelnym dwóch ludzi podziemnej „Solidarności”, został po raz drugi uznany za niewinnego...*

Sala sądowa. Majestat sędziego i ławników nie budzący wątpliwości, na ścianie z tyłu — orzeł w koronie i krzyż. Oskarżony — z „zablinkowanymi” oczywiście oczyma, ale

z wyrazem znudzenia i obojętności na twarzy. Dwóch znanych warszawskich adwokatów nad tomami akt. Rodziny ofiar — zabiedzone, zniszczone twarze... Jakieś łachy sprzed dwudziestu lat... Syn jednego z zakatowanych „wolnościowców” — w całej postawie pełna rezygnacja... I świadkowie tamtych czasów...

— Ludzie z marmuru... Ludzie z żelaza... — uśmiechnął się jakoś dziwnie. Tym razem darował sobie lód. Wlał do szklanki dużą porcję whisky. Alkohol pozwalał się jednak trochę oddalić.

— *...przewód sądowy nie dał podstaw do definitywnego ustalenia winy oskarżonego* — głos sędziego był monotony, pobrzmiwający długoletnim doświadczeniem. — *Materiał dowodowy, zgromadzony w sprawie, sąd uznał za niewystarczający, co najwyżej mogący pomóc w ustaleniu okoliczności prawdopodobnego przebiegu zdarzeń. Zeznania świadków zaś prowadziły ostatecznie do ustaleń wzajemnie się wykluczających. Wielu z nich miało trudności z przypomnieniem sobie faktów i zdarzeń zupełnie podstawowych dla materii procesowej, której celem jest ustalenie obiektywnej i nie budzącej wątpliwości prawdy, zwłaszcza w sprawie tak drastycznej...*

— No... po dwudziestu pięciu latach... I jeszcze z pewnością adwokaci wnieśli twórczy wkład... Ten Walker coraz lepszy... — monologował, sięgając znów po butelkę.

— *Sąd wydał wyrok uniewinniający także po to, by zasygnalizować, że opieranie oskarżenia na mocno niekompletnych dowodach materialnych jest wystawianiem na szwank powagi aparatu wymiaru sprawiedliwości...*

Oparł się wygodnie w fotelu. Przymknął oczy, starał się oddychać równo. A więc — trzeba znów...

Dzięki twórczej myśli wydawcy programu informacyjnego ten „blok prawny” miał swą dramatyczną kulminację w komentarzu jednego z liberalnych publicystów prawnych, któ-

ry zresztą na co dzień chętnie komentował wszystko, pod warunkiem że będzie to zgodne z tezą, iż obecna ekipa nie tylko dawno wyczerpała swą polityczno-programową formułę (jeśli ją w ogóle miała!), ale wręcz obecnie destabilizuje państwo. Ów obywatelsko nastrojony komentator zakończył filipikę wezwaniem w jakże modnym i swobodnym zarazem stylu:

— *Proces Pawła M., sprawa od początku dęta, wyraźnie motywowana chęcią politycznego odwetu, na który w polskim życiu publicznym dawno nie powinno być miejsca, to kolejny sygnał, że premierowi Olszańskiemu i jego chłopcom trzeba jak najszybciej odebrać zabawki... W języku dyskursu politycznego znaczyć to ma tyle, że opozycja powinna przestać mówić o anihilacji chorej „ustawy lustracyjnej”, a zabrać się za szybką, praktyczną realizację tego racjonalnego postulatu.*

A więc tak... Sięgnął po butelkę, wlał sobie ćwierć szklaneki. Przełączył plazmę na odtwarzanie DVD. Przeskipował płytę, obejrzał oba materiały jeszcze raz. Dobry kwadrans siedział bez ruchu, myśląc intensywnie. Potem sięgnął po laptopa. Uruchomił kilka programów, przejrzał pliki, które zadziwiłyby niejednego informatyka.

Skończył pracę, energicznie wstał z fotela i zaniósł do barku opróżnioną do połowy butelkę. Czuł dziwny szum w głowie.

— Starzeję się — powiedział do siebie półgłosem.

* * *

Andrzej Chybisz wyłączył telewizor. Chwilę siedział bez ruchu, w końcu energicznie, jakoś zbyt pospiesznie wstał z fotela. Ale zaraz zrozumiał, że nie wie, po co.

Kątem oka zauważył, że Teresa siedzi sztywno, bez sensu wpatrując się w zmatowiały ekran.

— Wiesz coś o tym Macioszku? — spytała.

— Nic...

Chybisz zebrał ze stolika filiżanki i wyniósł je do kuchni.

Gdy wrócił, Teresa siedziała tak samo, jak przed chwilą, chyba w ogóle się nie poruszyła.

— Co ci jest? — Podeszedł do żony, nachylił się nad nią, uważnie popatrzył jej w twarz. Podniosła na niego oczy.

— Nic... Jakie to wszystko banalne... On po prostu jest niewinny... On...

— Co mnie to obchodzi. — Chybisz wziął z kryształowej misy dużą garść orzeszków i wsypał je do ust. — Nie on pierwszy, nie ostatni.

— Masz rację... Co ciebie to obchodzi... majorze... — Nadal siedziała wyprostowana, nie patrzyła na męża, nie patrzyła chyba nigdzie.

— Jestem majorem w stanie spoczynku, zapomniałaś?

— Za często mi o tym przypominasz. Prawie codziennie przez jakieś... trzynaście lat.

Odwrócił się do niej plecami. Nie chciał tych rozmów. Myślał zawsze, że jakoś się rozumieją, przynajmniej na co dzień. Ale często dopadała go refleksja, że ona chyba rozumie go lepiej niż on ją. On był już — jak to mawiają fachowcy od ludzkiej duszy? — pogodzony. Właśnie — on był już pogodzony. Ona nie — był tego pewien. I rozmowy takie jak dzisiejsza wciąż go w tym utwierdzały. Jak w każdej niemal kobiecie, w Teresie był radykalizm, była niezgoda na nieprawość, w tym wypadku — na bezsensowną jej zdaniem kapitulację. Wiedział, że to bzdura. Przecież nie skapitulował, walczył, trochę jednak boksował... Ustąpił wtedy Olszańskiemu, bo nie było wyjścia. Więc to nie było bezsensowne. To było racjonalne. *Raison d'état*. Pamiętał tę rozmowę z premierem, parszewą rozmowę, w której nikt nie mówił tego, co naprawdę myślał. Obaj nie mogli sobie na to pozwolić...

— Musimy do tego wracać?

Milczała. Chybisz sięgnął po pudełko z papierosami. Zapalił i mocno się zaciągnął.

— Przetrącili ci kręgosłup.

Zastanowił się przez chwilę.

— Dobra... Powiedzmy, że... Powiedzmy, że coś ze mnie uszło... Ale właśnie dlatego — nieoczekiwanie podniósł głos — gównu mnie to wszystko teraz obchodzi, rozumiesz?! I nie wypytuj mnie...

— Przepraszam.

Wstała, rozejrzała się utrwalonym nawykiem gospodyni po salonie, zebrała lniane serwetki, srebrną paterę z resztą domowej szarlotki, talerzyki...

Gdy zniknęła w kuchni, Chybisz podszedł do wielkiego okna salonu. Chwilę patrzył w ciemność, potem otworzył wysokie drzwi, wyszedł na taras. Oparł się mocno o balustradę, czuł, jak silny chłód październikowego wieczoru oblepia go, wciska się pod sweter, pod koszulę. Lubił to — jesienny ziąb, niegroźny jeszcze, przyjazny, przynoszący ulgę. Ale teraz trzeba mu było czegoś więcej.

Przeszedł niespiesznie do gabinetu. Zawartość barku była mocno nadwyrężona — prócz dużej butelki jakiejś zagranicznej czystej wódki i napoczętego Advocata stała tam opróżniona do połowy flaszka czerwonego Johnnie Walkera. Sięgnął po szeroką szklanę. Odkręcił zakrętkę.

— Zostaw to, Andrzej...

Teresa podeszła, położyła mu ręce na ramionach, twarz przytuliła do jego pleców. Czuł jej ciepły, przyspieszony wyraźnie oddech. Zakręcił butelkę i odstawił ją na miejsce.

— Przepraszam... Naprawdę przepraszam... — powiedziała cicho.

Wzruszył ramionami. Delikatnie, ale stanowczo uwolnił się z jej objęć i wrócił na taras. Wyrzucił niedopałek w mrok ogrodu i natychmiast wyjął z paczki następnego papierosa. Smakował lepiej niż poprzedni.

Czternaście lat... Już czternaście lat major Andrzej Chybisz, zastępca szefa Wydziału Operacyjnego Biura Ochrony Rządu, był... samochodziarzem. Trzy autoryzowane sta-

cje Peugeotta w trzech miastach w sercu Mazur. W sumie nieźle... Choć... Dość radykalna zmiana jak na „solidarnościowego” działacza, „pistoleta”, autora reformy komunistycznego BOR-u, jednej więcej esbeckiej przybudówki. To Chybisz zrobił z BOR w ciągu nieco ponad roku sprawną, wyszkoloną służbę. Zdolną do czegoś więcej, niż tylko „ochrona rządu”... A tymi warsztatami premier Olszański wynagrodził mu odesłanie na zawodową i polityczną emeryturę w aurze potępienia, infamii niemal i politycznego skandalu. *Polityczne awanturnictwo... Nadużycie władzy... Woluntaryzm... Samowola decyzyjna... Ostre naruszenie prawa... Przekraczanie kompetencji...* Zarzutów sformułowano kilka, jeden lepszy od drugiego. Chybisz to nawet rozumiał; w końcu udaremnił — przy ścisłej współpracy z UOP — zupełnie regularny zamach stanu, włącznie z próbą przejęcia kontroli nad stołeczną policją, nad organami prewencji, nad jednostkami specjalnymi obrony wewnętrznej... Po prostu — odnowionym służbom Trzeciej RP trochę za dobrze w paru sprawach szło... Ten i ów poczuł się zagrożony... Kilku „światłych”, „cywilizowanych” polityków z samej góry musiało szybko i gwałtownie odejść w niebyt — dowody, które zgromadził UOP, nie budziły wątpliwości. Zagrożona dekonspiracją, czynna wciąż sowiecka i rodzima komunistyczna agentura zrobiły się nerwowe. UOP to pięknie wykorzystał. Tyle że metody, które zastosowano na osobisty rozkaz Chybisza... Rozkaz wydany poza wszystkimi strukturami i procedurami... Cóż... Dane operacyjne nie pozostawiały wątpliwości, ciąż trzeba było zdecydowanie... A jego zwierzchnicy... Szefostwo... Pytać ich — tchórzy i asekurantów? To można było od razu odtrąbić odwrot...

Wyjął z paczki marlboro, ale nie zapalił. Machinalnie obracał papierosa w palcach, wciąż patrząc przed siebie, w nocny mrok.

Premier go wówczas oficjalnie nie poparł. Dopiero nieco

później... Wtedy była ta rozmowa... i ten samochodowy biznes... Ale na początku z obrzydliwą gorliwością przyłączył się do dintojry. Chybisza i kilku jego najbliższych współpracowników potraktowano surowo, mściwie: natychmiastowa dymisja z przeniesieniem w stan spoczynku. Był nawet wniosek o jego degradację, ale zaoponował ktoś z Biura Bezpieczeństwa Narodowego, z Kancelarii Prezydenta. Chybisz do dziś nie wiedział kto. Dość, że stopień mu zostawili...

Nie wiadomo, jakim ciągiem skojarzeń jego myśl przywołała Czeška Szczeblika. Nazywali go Czwórka. Chłopak miał szajbę — nie interesowały go kobiety z mniejszym biustem. Ale co to był za żołnierz, za fachowiec! Łeb jak komputer, duża wiedza z różnych dziwnych dziedzin, sprawny, świetnie wyszkolony, w najcięższych sytuacjach nie do zastąpienia. A najlepsze było to, że na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie chudego intelektualisty: „urzędnicza” klatka piersiowa, twarz o dziecięcym, prawie załęknionym wyglądzie... Jak mieli jakąś delikatną operacyjną robotę, albo — przeciwnie — gdy trzeba było ostrych wejść, sprawności i ułańskiej fantazji, sierżant Szczeblik robił swój ulubiony numer: zakładał na nos druciane okulary. Wyglądał wtedy jak ostatnia oferma. I o to chodziło...

Za odwagę, za oddanie służbie, za świetne efekty pracy Czwórkę dyscyplinarnie z miejsca wydalono z BOR-u. Dostał też zaraz dwa lata w zawieszeniu w zwykłym procesie kryminalnym, oczywiście przy drzwiach zamkniętych, ale i tak uprzedzono go, że jeśli na rozprawie będzie mówił za dużo... Więc nie mówił. Oczywiście zdegradowano go do szeregowca. Andrzej Chybisz świetnie pamiętał, jak poszli się po tym wszystkim schlać... „Do spadu, panie majorze, dziś pijemy do spadu...” — bełkotał Czwórka w którejś kolejnej knajpie. Ręce mu się — mimo wypitej wódki — trzęsły, był w zupełnym dołku.

— Ciekawe, co się z nim teraz dzieje... — powiedział do siebie półgłosem Andrzej Chybisz.